

Feliks W. Kres

## PIEKŁO I SZPADA

Niezwykłe lecz prawdziwe opowieści  
spod znaku  
PIEKŁA I SZPADY  
czyli  
tajemnicze a niesamowite historie  
zebrane zarówno w dalekich księstwach  
Hostenne i Saywanee,  
jak też w sławnych królestwach  
Arelay i Nordii,  
a wreszcie na samych ziemiach  
Zjednoczonych Królestw Nolandii, Werwalu i Henestii,  
spisane w Roku Pańskim 1694  
przez człowieka,  
co otarłszy się o wszelkie magie i religie,  
zaprzagnął dać wyraz swemu podziwowi  
dla zdradzonych światów  
trwających za Bożym przyzwoleniem,  
a wbrew  
piekłu i wszystkim ciemnym mocom.

**Sörgethergeft**

*„Zrodzeni w nocy, z kamienia i grzechu kobiety” – tak brzmi napis, wyryty w gładzie, od wieków leżącym przy Rozstajnych Drogach w Carhon-Ree. Jak wieść głosi, słowa te dotyczą niezwykłego, okrutnego plemienia kotów-olbrzymów, z pogranicznych lasów Hostenne i Saywanee. Mordercy bądź Zabójcy – tak się zwali i jedno w swym języku dla obu tych słów mieli imię...*

*„Mroki” – opowieść o wydarzeniach sprzed wieków*

W samym sercu Saywanee, kilka mil ledwie od północnych skrajów Puszczy Jodłowej, leży dość wysokie, strome wzgórze, uwieńczone koroną ruin. Ponure to miejsce i cieszące się bardzo złą sławą. Niegdyś ruiny były zamkiem, czarną, barczystą budowlą z kamienia. Mówi się, że jej lochy widziały wiele śmierci i niezawinionych cierpień, słyszały wiele skarg. Pozostały ruiny. Lecz zła sława miejsca nie zginęła. Nikt tam nie zagląda, choć podobno pod gruzami leżą wielkie skarby. Ale chodzą słuchy, że strzeże ich duch złej władczyni, księżnej Morany pani Zamku Ahar. Przeklętej kobiety, którą zgubiła – niesamowita i ohydna, jak całe jej życie – miłość do kota-Mordercy.

Czarne Wieki dawno przeminęły, zło dawno straciło władzę nad światem. Wystarczy jednak ujrzeć Wzgórze Ahar, jego drapieżny stok, łysiny skał pośród zgniłozielonej trawy, wreszcie owe czarne ruiny, by dać wiarę że – choć pokonane – zło nie przepadło bez reszty. Że drzemie gdzieś, choćby w leśnych ostępach... choćby w owych gruzach... Że powróci, a wraz z nim jego słudzy.

Niewielka zrazu wioska, leżąca opodal Ahar, rozrosła się znacznie, powstał kościół drewniany, później zbudowano drugi – już z cegły. Linon Światły, książę Saywanee, pojął za żonę córkę swego stryja, władcy ościennej Hostenne. Hostenne ożywiła handel z Nordią, bo najprostszy i najkrótszy szlak wiódł przez Saywanee. Zanedbana droga, szerokim łukiem obchodząca Wzgórze Ahar, została naprawiona. Ayonna, wieś z dwoma kościołami, uzyskała prawa miejskie, a z czasem prawo składu. Karawany kupieckie płynęły z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód. W Ayonnie pojawiły się dwie nowe oberże, obok dwóch już istniejących. Posterunek straży miejskiej wzmocniono, potem przybyła do miasta półkompania muszkietierów książęcych. Raz po raz bawiły przejazdem znaczniejsze osobistości: a to możny szlachcic ze swą służbą, to znów książęcy urzędnik, a całkiem niedawno – nawet biskup. Niewielkie, ale już bogate miasto, tętniło życiem.

Ponure wzgórze patrzyło nań wyłupiastymi ślepiami gładów, których nie chciała pokryć gleba, które omijała trawa. Tylko korona ruin straciła swą pierwotną czerń, omszała, pokryła się zielenią coraz wyższych chwastów.

I ciągle nie było odważnych, gotowych wydrzeć zamkowi dawne skarby. Dziwna rzecz: niejedyn zuchowaty młodzian-zawadiaka, drwiąc z bajek, wyśmiewając legendy i za nic mając ponurą przeszłość miejsca, zapewniał przyjaciół przy winie, że już jutro – co to jutro? dziś, zaraz! – wyruszy po bogactwo i odkryje sekrety warowni. Ten i ów pojechał nawet ku wzgórzom...

Wszyscy zawrócili.

Dziwna moc strzegła tego pomnika i grobowca zarazem; pomnika-grobowca cieni, śmierci i zbrodni.

Był parny, letni wieczór. Zanosiło się na burzę, ale tu, pod dachem obszernego zajazdu, można było kpić sobie z błyskawic i ulewy. Toteż kupcy (o których wielce się w oberży starano) nie kryli zadowolenia. Może mniej powodów do szczęścia mieli pilnujący cennych wozów pomocnicy kupieccy, z kijami w garści przechadzający się po majdanie. Lecz cóż – zgodnie z prawem składu, towar miał być następnego dnia wystawiony na sprzedaż; należało pilnować, by w nocy wozy nie stały się lżejsze.

Nieźle wino dobywane wprost z chłodnej piwnicy, a także obfity posiłek, sprawiły, że rozmowa przy długim, solidnie zbitym stole toczyła się coraz żwawiej. Gwar wywabił z izb noclegowych paru innych gości; pora nie była jeszcze bardzo późna, a kupcy, jako bywalcy wielu stron świata, zawsze mieli ciekawe wieści w zanadrzu.

Oberżysta, człek nie w ciemię bity i wybornie znający swój fach, wiedział z doświadczenia, że takie właśnie wieczorne pogawędki, jeśli tylko zaraz nie zgasną, przeciągają się łatwo do późnej nocy. Całonocna biesiada zaś znaczyła akurat tyle, co pieniądź: goście jedli i pili, a popiwszy, ytm chętniej sypali groszem. Gospodarz skwapliwie donosił więc coraz nowe butelki, słuchał wywodów, czasem (niby przypadkiem) wtrącał jakieś słówko, by zaognić rozmowę, udawał głupiego, dziwiąc się rzeczom oczywistym, co – jak wiadomo – jest najlepsze, by rozwiązać język i dać mówcy sposobność do pouczeń. Wreszcie, widząc dobry skutek swych zabiegów, usunął się w cień i baczył tylko, by wina nie zabrakło.

Jeden wszakże gość nie bardzo się obrotnemu karczmarzowi podobał. Był szlachcicem, i to chyba zamożnym. Pił jednak wstrzemięźliwie, jadł niewiele, nie opłacił noclegu. Zdawało się, że czeka na kogoś. Może jednak było inaczej, bo czas płynął, a szlachcic wciąż samotnie trwał w swoim kącie, nie przejawiając nawet śladu irytacji czy zniecierpliwienia.

Mniej więcej godzinę po północy, wprawne ucho gospodarza pochwyciło stukot końskich kopyt na majdanie. Zaspanego pachółka siłą trzeba było wyganiać z kąta, w którym drzemał.

– Nuże, obwiesiu! – ponaglał rozeźlony pryncypał. – Cóż to, darmo chlebem gardło napychasz? Nuże, gość zajechał!

Jednak nim pachół pobiegł, by pokazać drogę do izby i zająć się koniem przybyłego, drzwi otwarły się, wpuszczając chłodną noc i porywy wiatru, niosącego pierwsze krople wzbierającej ulewy. Podróżny zatrzymał się na progu, wzrokiem ogarniając rozochoconych biesiadników, potem spieszącego ku niemu wyrostka i oberżystę.

Drzwi pozostały otwarte, kilka głów zwróciło się ku nim. Snadź niektórzy chcieli wołać, że zimno... Zamiast tego, głosy milkły kolejno.

Mężczyzna – był to szlachcic ogromnego wzrostu i barczysty, odziany w szkarłat i czerń – przytrzymał lekko kapelusze z białym pióropuszem, drugą rękę zaś opuścił na gardę rapieru. Twarz zdradzała lat najwyżej czterdzieści, jednak wąsy i niewielka bródka były gęsto przetykane siwizną. Oczy, skryte pod namarszczonymi brwiami, spoglądały uważnie, badawczo.

Pachółek, przewiercony tym spojrzeniem, wystraszył się wyraźnie, bo stanął, popatrując to na gościa, to na oberżystę.

Cisza trwała przez parę długich chwil.

– Szukam kogoś – rzekł szlachcic, bez słowa powitania i najwyraźniej nie zamierzając postąpić dalej w głąb izby. Wymawiał wyrazy z cudzoziemską, trudno jednak powiedzieć, jaki był ojczysty jego język.

Zaraz potem przenikliwe spojrzenie pobiegło ku mrocznemu zakątkowi izby. Siedzący tam od wielu godzin szlachcic powstał i, skinąwszy głową, uczynił dwa kroki w stronę szkarłatnego olbrzyma.

– Czekam na kogoś – rzekł równie zwięźle, spoglądając z uwagą.

Człowiek ten mógł mieć lat tyle samo, co przybyły. Ustępował mu wzrostem, nosił się jednak równie dumnie i godnie. Odziany był w barwy zielone, brązowe i czarne, podkreślone białymi koronkami.

Obaj mężczyźni przez chwilę oceniali się wzrokiem, po czym wymienili ukłony. Przybysz usunął się cokolwiek, by dać tamtemu przejście przez drzwi.

– Wielmożni panowie – zagadał oberżysta, odzyskując głos – po nocy... w taką noc...

Mężczyzna w szkarłacie cisnął coś do góry; oczy wszystkich podążyły za złotym migotaniem. Karczmarz chwycił monetę i z niebotycznym zdumieniem patrzył na dukata z książęcej mennicy, wartego więcej, niż dwaj ludzie mogli przejeść i przepić w trzy dni. Gdy uniósł wzrok, by dziękować, szlachciców już nie było.

## II

Grube, ciężkie krople coraz gęściej padały na gościniec. W oddali grzmiało. W czerni nocy niewyraźnie majaczyły sylwetki dwóch jeźdźców. Konie szły drobnym kłusem. Dziwnie głucho niósł się odgłos uderzających o ziemię kopyt.

U zbiegu dwóch dróg prowadzący mężczyzna wstrzymał wierzchowca. Szarzały w mroku pióra przy kapeluszu.

– Tu poczekamy – powiedział.

– Czemu właśnie tu?

– Moi ludzie – padło krótkie wyjaśnienie. – Wyjechałem naprzód sam; po cóż ciągać do miasta zbrojne sługi?

– Czekamy na poczet zbrojnych?

– Dobrześ pan usłyszał.

– Chcesz, kawalerze, strzelać do upiorów z muszkietów?

– Upiorów! Mości hrabio, nie wierzę w upiory.

– A w co wierzysz kawalerze?

– W nic.

– Nawet w Boga? W magię, w przeznaczenie? – pytał mężczyzna w koronkach.

– W przeznaczenie; owszem. W różne zrządzania losu. Ale nie Opatrzności.

Dziwna rozmowa urwała się. Mężczyźni nieruchomo tkwili w siodłach, wyczekująco spoglądając na niknącą w ciemnościach boczną drogę. Nasłuchiwali, ale szmer deszczu i nadchodzące pomruki burzy głuszyły wszelkie inne dźwięki. Za to błyskawice służyły dobrym światłem – coraz jaskrawsze, coraz bliższe.

– Jadą.

Białozłote pęknięcie załśniło na niebie, wyławiając z mroku szkarłatną szatę mówiącego. Hrabia pochwycił spojrzeniem trzech nadjeżdżających konnych i zapytał:

– I cóż waszmość poczniesz z tym wojskiem?

Olbrzym, zdaje się, nie dosłyszał kpiny w głosie swego towarzysza, bo odparł spokojnie:

– Mości hrabio, najależ mnie pan za duże pieniądze. Jestem wart swojej ceny. Wiem, co czynię. Ci ludzie mogą się przydać.

Po czym dorzucił jeszcze:

– Natomiast pan jesteś całkiem zbędny, cyn hrabio. Na co przyda się pańska szpada w tych ruinach, skoro już moja tam będzie?

– Kawalerze – rzekł z pewną wyższością wezwany – zważ proszę, że nie tylko szpadę tam niosę. Niosę także głowę.

„By zostawić...” – powiedział sobie najemnik.

Trzej jeźdźcy dotarli do zbiegu dróg. Padło krótkie pytanie, olbrzym opowiedział się – niepotrzebnie, bo właśnie kolejna błyskawica przecięła czarne niebo. Nie padło ani jedno zbędne słowo. Ruszono w milczeniu.

Hrabia i jego towarzysz podążali na czele, kilka końskich długości przed tamtymi.

– Mości Hamirez – odezwał się hrabia – z jakiego pan kraju pochodzisz?

– Nie z tego, co Del Velarowie.

– Powiedzże mi, panie kawalerze, czy to tak trudno być grzecznym?

– Trudno, na honor. Usłyszałem dziś od waszmości sto pytań. Czy ja zadałem choć jedno, gdyś wynajął mnie i moją szpadę, panie hrabio? Wyznaczyłem cenę i stawiałem się w miejscu, określonym przez twego posłańca. Czego pragniesz jeszcze?

Zaległo krótkie milczenie.

– Ale dobrze, Del Velaro – rzekł po chwili olbrzym. – Słyszałem o panu niejedno i prawda jest, iż rzadko wstępuję na służbę do człowieka męznego. Zwykle pożądamy mych usług ludzie słabi i mali. Teraz jest inaczej, to dobrze. A zatem, hrabio, czyś słyszał kiedy słowo: *Sörgethergeft*?

Hrabia oniemiał.

– Nie może być – rzekł wreszcie.

– A jednak, mości hrabio. Chciałeś tej wiedzy, więc ją masz.

– Jesteś, kawalerze...?

– Jestem martwy, hrabio. Martwy jak skała albo kamień. I tak samo wieczny.

Po czym dodał z ponurym sarkazmem:

– Znajdujesz to pan niestosownym?...



Hrabia Del Velaro nie miał skóry strachem podszytej, jednak prawda o pochodzeniu człowieka, za którego usługi zapłacił, wstrząsnęła nim do głębi.

*Sörgethergeft.*

„Na Boga!” – mówił sobie raz po raz. „To człowiek... to istota stamtąd. Z zaświatów. Zmarły, któremu kazano przeżyć własną śmierć, istnieć dalej w imię celu, którego nikt nie zna, nawet on sam. Ile lat już krąży po ziemskim padole? Czyja dusza objęła w posiadanie ciało, opuszczone przez inną? Dobry Boże! Nająłem trupa do walki z upiorami. Gdybym wiedział, gdybym mógł przewidzieć... Ale jakże mogłem, jakim sposobem?”

Co jakiś czas spoglądał ku majaczącej tuż obok czarnej, ogromnej sylwetce i za każdym razem zdawała mu się bardziej ponura i wroga.

– Mości hrabio – rzekł niespodziewanie Hamirez, czytając chyba w myślach – jak długo zamierzasz pan drażnić sprawy, które od ciebie nie zależą? Oto wzgórze, ku któremu zmierzamy. Rozważ waszmość, czy nadal pragniesz poznać jego tajemnice.

W samej rzeczy – droga uciekała w prawo, a wprost przed sobą ujrzął Del Velaro czarniejszy od nocnego nieba, krępy masyw. Błyskawice wciąż na nowo zapalały kontury wzgórz i złowrogich ruin.

– Czemu w nocy?

Hrabia nie spostrzegł nawet, że swą wątpliwość wypowiedział głośno. Tym bardziej się zdumiał, gdy nadeszła odpowiedź:

– Nie w nocy, lecz o brzasku. Północ dawno minęła, hrabio, mamy zaś wczesne lato. Wkrótce świt.

Hamirez zjechał z traktu i podążył wprost ku wzgórzom. Del Velaro skierował konia jego śladem; tak samo uczyli milcząca czeladź.

– Kim są ludzie, których pan wie, kawalerze?

Nie było odpowiedzi.

Burza wzmogła się nagle; wiatr, jakby pchnięty niewidzialną mocą, uderzył jeźdźców, porywając kapelusz hrabiego i szarpiąc peleryny. Błyskawice rozdzierały niebo, następując po sobie z niebywałą szybkością, w ich świetle widać było posępny, świerkowy zagajnik u stóp Ahar. Ocierając deszcz z twarzy, ujrzął Del Velaro pomiędzy drzewami mokrą ciemność, której nie zmogły lśnienia piorunów.

„W nocy ważą się losy” – przyszło na myśl hrabiemu stare porzekadło.

Nie wiedział przecie o starodawnej magicznej inwokacji, z której porzekadło owo wzięło początek, a której pierwsze słowa brzmiały: „Burza, wiatr i mrok są Tłem Losu; wtedy najwyraźniej widać jego Węzły”...

Wkrótce zanurzyli się w świerkową ciemność. Hrabia raczej odgadł niż dostrzegł, że Hamirez zsiadł z konia. To samo uczynili jego ludzie.

Burza odchodziła powoli.

– Mości hrabio – rzekł najemnik swym powolnym, pobrzmiwającym obcymi akcentami głosem – jesteśmy u celu. Raz jeszcze pytam: czyś pewien, że chcesz moich usług? Gotów jestem pożegnać pana choćby zaraz, oczywiście zatrzymując zaliczkę.

– Mości Hamirez – odparł spokojnie wezwany – zapytałem skąd pochodzisz i doprawdy tego żałuję... Ale w niczym to nie zmienia mych zamiarów.

– Dobrze. Zapłaciłeś pan; pozwól teraz, bym zasłużył na swoje pieniądze. Mój człowiek zostanie, by pilnować koni. Zostań hrabio i ty. Trzeba ci wiedzieć, że nie przywykłem działać, gdy patrzy mi się na ręce.

– Istotnie zapłaciłem, ale właśnie dlatego mam prawo patrzeć na pańskie ręce, ile mi się spodoba, kawalerze. Nie znajduję zaś żadnej racji, dla której miałbym przyjąć posadę koniucha.

W ciemności rozbrzmiał krótki śmiech.

– Oto, hrabio. Prawda, że pomimo twej nieposkromionej ciekawości, masz pan wielką zaletę: dzielność, która musi się podobać każdemu. Nie żyw urazy, jeśli moje obejście znajdujesz zbyt prostackim. Nie wiesz waszmość, jak rzadko zdarza mi się... rozmawiać.

To nieoczekiwane wyznanie zaskoczyło i zdziwiło hrabiego Del Velaro.

– Ruszajmy zatem – rzekł Hamirez. – Weź waszmość pistolety i osłoń dobrze panewki.

– Kawalerze...

– Panie hrabio!

Zaległa krótka cisza.

– Panie hrabio. Twierdzisz, że kula tu niewiele pomoże. Niech tak będzie. Zważ jednak, czy może zaszkodzić? A gdy w samej rzeczy może, to wyłóż mi waszmość, dlaczego i jakim sposobem.

Po dwóch sekundach Del Velaro wyjął broń z olstrów przy kulbace.

Ruszyli.